



Popularyzacja nauki: tak, ale jaka?

Ostatnie wydarzenia uświadomiły ponownie wielu ludziom, jak wielkie znaczenie ma nauka dla naszego życia i bezpieczeństwa. W sytuacji zagrożenia spodziewamy się, że uczeni znajdą remedium i z niecierpliwością czekamy na wyniki ich pracy. Nieufność, jeszcze niedawno tak głośno wyrażana, jakby znikła. W jej miejsce pojawia się naiwna wiara we wszechmoc nauki, od której wymagamy, aby potrafiła natychmiast odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Te gwałtowne zmiany społecznych nastrojów wskazują dobitnie, że większość ludzi w naszym kraju, a także większość publicystów kreujących opinię publiczną, ma nikłe pojęcie o tym, co to jest metoda naukowa badania rzeczywistości oraz jakie są jej możliwości i ograniczenia.

Zmienić ten stan rzeczy może tylko konsekwentna praca na polu upowszechniania i popularyzacji wyników badań oraz zasad metody naukowej. I to na wszystkich szczeblach społecznej drabiny. Wiemy, że to zadanie bardzo trudne, a rezultaty – jak dotąd – niezbyt zadowalające. Warto więc zmobilizować wszystkie siły, aby ten proces wzmocnić i dlatego planujemy rozszerzyć tematykę PAUzy, wprowadzając w tym celu osobną rubrykę *Scientia PAUperum* (w nieco żartobliwym nawiązaniu do średniowiecznej *Biblia Pauperum*), co pozwoli zamieszczać częściej teksty popularno-naukowe. Jako pierwszy publikujemy tekst prof. Przemysława Urbańczyka.

W 1933 r. S. Loria pisał:

[...] Bardzo szkodliwe jest mniemanie, że do napisania artykułu lub książki popularnonaukowej niepotrzebna jest gruntowna wiedza fachowa, lecz wystarczy dość powierzchowna znajomość przedmiotu. Jest to przekonanie najzupełniej błędne. Sprawa ma się właśnie wręcz przeciwnie. O wiele łatwiej jest napisać dobry referat naukowy, przeznaczony dla uczonych, aniżeli dobry artykuł lub wykład popularny dla laików. Nie idzie tu bynajmniej – jak sądzi się powszechnie – tylko o trudności językowe, o żywość i barwność stylu, o zwartość kompozycji itp.

Zadaniem popularyzatora jest podawać informacje poprawne w formie przystępnej, interesującej i jednoznacznej. Nie może on więc zadowolili się wrażeniem, że słuchacz lub czytelnik jego słowa i myśli rozumie, lecz musi troskliwie baczyć, aby ich nie rozumiał fałszywie. Nie tylko treść jego wywodów winna być poprawna, lecz także forma wyślowienia musi być tak starannie dobrana, aby zapewniała możliwość poprawnej ich interpretacji przez słuchacza lub czytelnika.

O wszystkie te „drobności” nie troszczą się zupełnie ci popularyzatorzy i naukopisarze, którzy brak gruntownej wiedzy i poczucia odpowiedzialności kompensują łatwością pióra i talentem pisarskim. Ich artykuły popularyzatorskie, pisane z werwą, czyta się „przyjemnie” i bez wysiłku – szkoda tylko, że zawierają one tak często informacje fałszywe, tłumaczenia pozorne lub błędne, a nieraz całe zdania pozbawione sensu [...].

Popularyzatorzy i naukopisarze uznali, że skoro tak trudno jest wzbudzić zainteresowania naukowe szerokiego ogółu i skierować go do warsztatów wiedzy, należy zastosować metodę odwrotną i ściągnąć naukę wraz z uczonymi między tłum uliczny. W stosunku do nauki czynią to przez podkreślenie przede wszystkim utylitarnej jej wartości, w stosunku do uczonych przez traktowanie ich z wulgarną poufałością. Inicjatorzy tej dziennikarsko-rewiowej formy szerzenia wiedzy „na wesole” uważają ją oczywiście tylko za pewnego rodzaju

Dobrze będzie jednak przy okazji przedyskutować jaki cel winien przyświecać popularyzacji nauki. Jeżeli chodzi głównie o wzbudzenie zainteresowania czytelnika/słuchacza/widza, aby następnie sam sięgnął do źródeł, powstają ważne pytania jakie są tutaj dopuszczalne granice uproszczeń oraz do jakiego stopnia stosowane analogie i parafrazy mają sens, a w którym momencie stają się szkodliwe i wprowadzają odbiorcę w błąd. A może głównym celem winno być o dostarczenie autentycznej wiedzy, podanej w sposób przystępny, bez specyficznego „naukowego” żargonu, ale i bez nadmiernych uproszczeń. Tutaj też pojawia się mnóstwo pytań.

Chcemy rozwinąć ten temat na naszych łanach i zachęcamy gorąco czytelników do podzielenia się swoimi obserwacjami i doświadczeniami.

Rozpoczynamy publikacją fragmentów obszernego artykułu Stanisława Lorii, fizyka, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Artykuł ukazał się w 39. numerze „Wiadomości Literackich”. Skróty dokonał prof. Andrzej Kajetan Wróblewski, któremu bardzo dziękujemy za udostępnienie tekstu.

Zamieszczamy też komentarz profesora Łukasza Turskiego. Liczymy na dalsze głosy.

Redakcja

podstęp. Krzykliwe tytuły, jaskrawe przeciwstawienia, reklamarska przesada, facecje i kpiarstwo, to tylko niewinne w gruncie rzeczy akcesoria propagandowe. Służą one do uspienia czujności lęklivego czytelnika, który by w panicznym strachu uciekł przed nudą wykładu, niezaprawionego pieprzykiem sensacji i dowcipu, a zmuszającego nawet czasem – *horribile dictu* – do chwilowego umysłowego wysiłku. Tylko w ten sposób – sądzą – będzie można dotrzeć do szarego tłumu bywalców kawiarnianych i sportowców, gieldziarzy i bankowców, aplikantów sądowych i gazeciarzy, pięknoduchów i snobów [...].

Nie wierzę jednak w skuteczność i celowość takiej „popularyzacji”. Nie wierzę, aby takie zwulgaryzowanie nauki i uczonych przyczynić się mogło do podniesienia kultury mas, a widzę natomiast, że wzmaga ono tylko skutecznie niebezpieczeństwo zalewu falą intelektualnego barbarzyństwa [...].

Z tych faktów i fakcików, wielorakich wiadomości i plotek, nieścisłych lub fałszywie interpretowanych informacji, niedozwolonych lub celowo przesadzonych uogólnień, przedwczesnych albo niedostatecznie ugruntowanych wniosków – tworzą się w umyśle laika jakieś chaotyczne strzępy pseudowiedzy. Zachowuje on w pamięci obfity zasób naukowo brzmiących wyrazów, fachowych określeń i terminów; zna nazwy naukowych zakładów i instytucji; umie wymienić na poczekaniu kilkanaście nazwisk głośniejszych uczonych... i legitymuje się efektywnie tymi błyskotliwymi pozorami pseudowyształcenia w sposób nieraz wręcz groteskowy. Szerzy się skutkiem tego zarazą jakiegoś specyficznego snobizmu, której ofiarami padają nieraz ludzie na ogół rozsądni [...].

Dobry popularyzator różni się tym od kronikarza czy reportera naukowego, że nie poprzestaje na informowaniu laika o interesujących i pożytecznych zdobyczkach techniki i wiedzy. Zapoznając czytelnika z pewną dziedziną starannie dobranych zjawisk i faktów, prowadzi go zwykle, bodaj na chwilę, do warsztatu uczonego, ►



► objaśnia i pomaga mu śledzić sam proces badania, aby następnie w udatnym skrócie pokazać z lotu ptaka nie tylko problemat i jego rozwiązanie, lecz również krętą nieraz drogę, wiodącą do osiągnięcia zamierzonego celu. Dzięki takiej metodzie popularyzacji uczy się czytelnik podchodzić do zagadnień w sposób naukowy.

Uczy się bez subiektywnych uprzedzeń ustalać bezsporne fakty, stwierdzać istniejące między nimi związki, dostrzegać wynikające z nich konieczne konsekwencje, aby następnie z tego materiału wysnuwać ostrożnie wnioski. Uczy się celowo formułować

pytania, rzeczowo ważyć argumenty, ogólnie wypowiadać sądy, słowem, poprawnie myśleć i jednoznacznie myśli swe wyrażać. Tak pojęta popularyzacja wdraża człowieka z ulicy w metodę myślenia, która zrodziła się trzysta lat temu w dziedzinie nauk przyrodniczych i zapewniła im po dziś dzień trwałość i ciągłość rozwoju. W szerzeniu tej metody myślenia wśród szerokich mas widzę właściwe wychowawcze znaczenie popularyzacji. Wydaje mi się ono stokrotnie ważniejsze niż dostarczanie chociażby najbardziej pożytecznych wiadomości [...].

* Całe wystąpienie profesora Wróblewskiego można znaleźć w sprawozdaniu z VI Debaty PAU (TOMASZOWICE 17–18 listopada 2018): *Uczelnia w służbie społeczeństwa*. Redaktor: Lucjan Suchanek (PAU, Kraków 2019).

Scientia PAUperum

Czy paleogenetyka będzie panaceum na kłopoty archeologów?

Od kilkunastu lat archeolodzy na całym świecie z nadzieją obserwują technologiczny postęp w paleogenetycznych badaniach kości zalegających magazyny muzealne. Coraz skuteczniejsze ekstrakowanie antycznego DNA (aDNA) z wykopanych kości ludzkich i zwierzęcych zdaje się bowiem oferować nowe narzędzie analityczne o niezwykłej skuteczności dowodowej.

Liczymy, że pozwoli ono rozstrzygnąć dylematy związane z kluczowymi wydarzeniami w pradziejach, jak „rewolucja neolityczna”, opanowanie Europy przez Indoeuropejczyków, korzenie Słowian, czy pochodzenie dynastii piastowskiej. Dotąd takie rozważania były domeną archeologów, którzy analizowali podobieństwa różnych elementów kultury materialnej (np. ozdób, broni, narzędzi lub garnków glinianych) i przejawów kultury rytualno-symbolicznej (np. obrządku pogrzebowego), tworząc ciągi rozwojowe, sugerujące pochodzenie ludzi, którzy pozostawili te świadectwa.

Było to jednak wnioskowanie w dużym stopniu intuicyjne, w którym opierano się na założeniu, że zespoły podobnych znalezisk (tzw. kultury archeologiczne) odzwierciedlają realne społeczności ludzkie. Ludzie żyjący w świecie podobnych przedmiotów i rytuałów mieli tworzyć wydzielone ugrupowania odznaczające się tą samą kulturą, językiem, religią i światopoglądem, a nawet i cechami biologicznymi/„rasowymi”.

W skrajnej postaci nacjonalistycznej doprowadziło to do wykorzystywania argumentów archeologicznych w bieżących konfliktach politycznych. Gorzkie doświadczenia II wojny światowej, kiedy odniesienia do jednoznacznie identyfikowanych archeologicznie „plemion” germańskich legitymizowały nazistowską strategię ekspansji, sprawiły, że wszelkie rozważania „etniczne” w archeologii stały się mocno podejrzane.

Ostatecznie, optymizm poznawczy dawnych archeologów podważyły doświadczenia nowoczesnej antropologii kulturowej z badań nad społeczeństwami tradycyjnymi Ameryki, Afryki, Azji i Oceanii. Okazało się bowiem, że w ogromnej większości przypadków zasięgi specyficznej kultury materialnej, języka, religii i poczucia wspólnoty ponadlokalnej nie pokrywają się ze sobą, tworząc trudne do zdefiniowania dynamiczne konglomeraty tych elementów.

Szansę na przezwycięzenie tego kryzysu interpretacyjnego zdają się stwarzać właśnie postępy w pozyskiwaniu informacji genetycznych z kości ludzkich. W przypadku ludzi żyjących cechy RNA i DNA rozstrzygają przecież jednoznacznie kwestie pokrewieństwa i genealogii. Użycie stosownych metod laboratoryjnych powinno więc wreszcie zweryfikować nasze przypuszczenia odnośnie do podobieństwa grupowego i pochodzenia nosicieli różnych kultur archeologicznych.

Na razie jednak musimy się uzbroić w cierpliwość, bo „stare” kości stawiają opór naszemu zainteresowaniu. Nie ma co liczyć na identyfikację RNA, który ulega szybkiej degradacji. Dużo trwalsze jest DNA (kwas deoksyrybonukleinowy), którego nici też jednak ulegają fragmentacji. Tempo utraty zawartej w nim informacji genetycznej zależy od cech środowiska (natlenienie, wilgotność, temperatura, odczyn gleby itd.), w jakim zalegały wykopane przez archeologów kości.

Do niedawna skupiano się na aDNA mitochondrialnym (dziedziczonym po matce), bo takich genomów jest dużo w każdej komórce, co zwiększa szanse ich odzyskania. Rozwój technik laboratoryjnych (np. łańcuchowej refrakcji polimerazy – PCR) zwiększył skuteczność tych poszukiwań, otwierając też dostęp do aDNA jądrowego, a więc również informacji genetycznej dziedziczonej w linii męskiej. Ciągle pojawiają się więc nowe informacje o identyfikowaniu kolejnych genomów szkieletów, a nawet i kości nadpalonych.

Dzięki nim już wiemy, że rewolucyjna zmiana w sposobie eksploatacji środowiska naturalnego, jaką wprowadziło rolnictwo, faktycznie przysłała na nasze ziemie wraz z potomkami pierwszych rolników z Bliskiego Wschodu, którzy – począwszy w siódmym tysiącleciu p.n.e. od Bałkanów – zajmowali kolejne połacie Europy. Ustalono też, że dzisiejsi Europejczycy w ogromnej większości są potomkami przybyszów sprzed 3,5 tys. lat ze wschodnich stepów, których identyfikuje się z archeologiczną kulturą grobów jamowych.

Jeśli chodzi o Słowian, to dominująca dziś wśród nich haplogrupa R-1a1, występująca w męskim chromosomie Y, to mutacja genetyczna, która pojawiła się gdzieś w Eurazji już ok. 15 tys. lat temu. Jej występowanie u niektórych ludów azjatyckich (łącznie z członkami indyjskiej kasty braminów) potwierdza lingwistyczne teorie o pochodzeniu języków indoeuropejskich. Nie wiemy natomiast jeszcze, jakie jest dokładniejsze pochodzenie naszych słowiańskich przodków, tzn. czy byli autochtonami, czy też przybyszami spoza dorzecza Wisły i Odry.

Czekamy też na wyniki badań poznańskiego zespołu prof. Marka Figlerowicza, który stara się ustalić pochodzenie naszej pierwszej dynastii monarszej. A w nauce funkcjonuje przecież kilka konkurencyjnych hipotez, które sugerują jej autochtoniczność (zgodnie z legendą piastowską Anonima Galla), czy też „obcość”, tj. przysięcie przodków Mieszka I ze Skandynawii, albo z Wielkiej Morawy.

Wyniki nie są więc zaskakujące, jeśli chodzi o procesy masowe (np. neolityzacja czy indoeuropeizacja), bo potwierdzają hipotezy dawno już sformułowane na podstawie tradycyjnych metod oglądania odległej przeszłości. Paleogenetyka jest natomiast bezkonkurencyjna w rozwiązywaniu problemów szczegółowych, jak np. pokrewieństwo osób pochowanych na jednym cmentarzu, czy wręcz w jednym grobie. Musimy jednak jeszcze poczekać na odpowiedź na pytania dotyczące problemów „średniego zasięgu” – np. relacji między nosicielami różnych kultur i związku zmian w kulturze materialnej z migracjami dużych i mniejszych grup, a nawet pojedynczych osobników.

Do tego potrzebne jest przebadanie dziesiątek tysięcy szkieletów zalegających wciąż magazyny. Dopiero to pozwoli ustalić cechy genetyczne „całych” populacji pradziejowych, co stworzy stosowną bazę do porównań historycznych. Dzisiaj bowiem wszystkie genomy pradziejowe musimy porównywać ze współczesną mapą genetyczną, która jest wszak mocno zmodyfikowana przez wydarzenia z mniej lub bardziej odległej przeszłości.

Jak to działa, czy dokąd zmierza świat

W połowie czerwca br. szacowny, mający już 118 lat amerykański periodyk „Popular Mechanics” opublikował artykuł poświęcony naukowym metodom obalania pomników. Tekst ten w swym założeniu miał urzeczywistnić społeczne oczekiwanie wywołane falą wydarzeń w USA i Wielkiej Brytanii, gdzie aktywiści, motywowani różnymi polityczno-społecznymi powodami, stracali z cokołów liczne pomniki. Artykuł zamieszczony w „Popular Mechanics” był kiepski merytorycznie, bo pominął możliwość korzystania z innych niż opisane w tekście maszyn prostych, tym samym ignorując pionierskie doświadczenia z obalania znanego pomnika w Gdańsku w 2019 r.

„Popular Mechanics” jest jednym z najbardziej renomowanych czasopism polarnonaukowych na świecie, z licznymi międzynarodowymi wersjami i z olbrzymim uznanym wkładem w upowszechnianie wiedzy o naukach podstawowych i ich zastosowaniach. Czerwcowa publikacja wywołała burzę zarówno entuzjastycznych, jak i krytycznych wypowiedzi, czy była to działalność mieszcząca się w nawet dość szeroko rozumianym pojęciu „popularyzacji nauki”. Czym bowiem naprawdę jest i czym ma być owa „popularyzacja”.

Gdy 175 lat temu pojawił się czterostronicowy, dziś powiedzielibyśmy newsletter, o nazwie „Scientific American” informował on swoich czytelników o działalności amerykańskiego biura patentowego. Był ważnym źródłem informacji dla czytelników zaciekawionych ściśle określoną tematyką — wynalazców, zainteresowanych zakupem nowych technologii przedsiębiorców, a także amatorów konstruktorów. Z takiego newslettera można się było np. dowiedzieć o przyznaniu Abrahamowi Lincolnowi patentu na niezatapialny statek! Zapewne stałym czytelnikiem ówczesnego „Scientific American” byłby Thomas Jefferson, plantator z Wirginii, a jednocześnie uczonej i wynalazca (zaprojektował automatyczne urządzenie do kopiowania tekstów, ulepszony plug etc.), no i czasami polityk i twórca takiego rozumienia demokracji, o którym dzisiejsi politycy, w tym następcza Jeffersona na posadzie prezydenckiej, starają się aktywnie zapomnieć. Wspomniany „Scientific American” to przykład pierwszej postaci popularyzacji, czy upowszechniania nauki i techniki – dostarczania informacji zawodowcom o tym, co się dzieje w ich oraz im pokrewnych i mogących ich fachowo interesować zawodach. Takimi czasopismami są dzisiaj w fizyce „Physics Today”, „Physics World” i wiele innych. Ewolucja w czasie – doznana przez „Scientific American” – pozwala nam zobaczyć, czym był przez sporą część XX w. A był wtedy czasopismem dla myślących, bardzo dobrze wykształconych ludzi, o różnych zainteresowaniach i profesjach, którzy wierząc w to, że nauka otwiera bezkresne pogranicze Vannevara Busha, poszukiwali przewodnika po tym pograniczu i byli przeświadczeni, że ludzkość musi tam wkroczyć, ale wiedząc po co i przede wszystkim tak, by piękna tego pogranicza nie zamienić w ludzkie piekło. Ta popularyzacja nauki uczyła ludzi np., że świat ma szansę wykorzystać powstającą wtedy energetykę jądrową, ale że musi to robić ostrożnie i trzymać ją z dala od nieuków i łepych polityków. Taką popularyzacją nauki w Polsce zajmowały się zlikwidowane bez sensu „Problemy”, w których Julian Tuwim publikował swój fenomenalny zbiór *Cicer cum caule czyli groch z kapustą*, czy istniejące gdzieś na marginesie do dziś, najstarsze czasopismo polarnonaukowe w Polsce (regularnie wydawane od 1926 r.), „Wiedza i Życie”, właśnie kolejny raz przechodzące

w inne wydawnicze ręce. Taką rolę odgrywały książki, np. fenomenalna książka Arkadiusza Piekary *Fizyka stwarza nową epokę* – z ową wkładką rysunkiem o zagrożeniach dla pokojowego wykorzystania energii jądrowej. Ziściły się. To druga postać popularyzacji nauki, dziś trudna do znalezienia, przynajmniej na naszym rynku wydawniczym. Od końca XIX wieku do dziś, z niewątpliwym, oby tylko lokalnym, maksimum na przełomie połowy XX wieku rozwijał się trzeci nurt popularyzacji nauki – powstawały książki, a także wydzielone kolumny w wydawnictwach, np. Martina Gardnera w „Scientific American”, przybliżające zaawansowane fragmenty wiedzy czytelnikom, którzy nie będąc zawodowcami, znajdowali jednak radość życia w zmaganiu się z wysoce specjalistycznymi zagadnieniami. Pisane były dla czytelników o różnych poziomach wykształcenia – od uczniów szkolnych po zawodowych matematyków, interesujących się np. archeologią. W Polsce taka twórczość kwitła po odzyskaniu niepodległości w XX w., czego świadectwem są *Biblioteka samouka* oraz książeczki i artykuły takich uczonych, jak Hugo Steinhaus, Witold Wilkosz, Leopold Infeld itd. Po II wojnie pisał tak Józef Hurwic i wielu innych. Niestety, ten trzeci nurt znacząco osłabł współcześnie. Rozwija się na świecie, niestety dość często jedynym atutem tych wydawnictw są świetne PR-owsko tytuły. Czwartym nurtem popularyzacji nauki były i są książki i wydawnictwa przygotowane dla najmłodszych dzieci, mające na celu rozbudzenie zainteresowania poznawaniem reguł rządzących otaczającą nas przyrodą. Ten nurt powolutku zostaje całkowicie wchłonięty przez fragmenty „kultury obrazkowej”, ukierunkowanej na „wszystkich”. Kilkanaście lat temu tysiące kanałów telewizyjnych, a współcześnie rozmaitego autoramentu portale, serwisy, kanały internetowe pełne są, zwykle świetnych technicznie, programów przedstawiających całe spektrum informacji „o nauce”, od bardzo dobrych do całkowicie bezwartościowych prezentacji pseudonaukowych, parareligijnych, głoszących teorie spiskowe itd. Niebawym postępem technik wizualizacyjnych umożliwia pokazanie „wszystkiego, co się chce” na ekranie naszych telewizorów, komputerów, tabletów i smartfonów. Możemy obejrzeć nie tylko przekonująco pokazane kompletne brednie o kosmicznych początkach naszej cywilizacji, kalendarzach Majów etc. po – co jest wyjątkowo szkodliwe – podrasowane technikami wizualizacji niby to rzeczywiste przebiegi zjawisk i procesów przyrodniczych, utrwalające u widza błędne przekonania lub po prostu go oszukujące. Zalew takich pseudo- i paronaukowych „popularyzacji” towarzyszy zwykle jakimś wydarzeniom medialnym, np. szeroko reklamowanemu skokowi spadochronowemu z balonu stratosferycznego.

Ostatnim nurtem upowszechniania wiedzy, o którym wspominałem już na łamach Pauzy i który najbardziej ucierpiał z powodu panującej wszechwładnie pandemii, jest działalność centrów nauki. Ten zapoczątkowany przez Franka Oppenheimera i jego Exploratorium proces udostępnienia milionom uczestników (10 milionów w naszym Centrum Nauki Kopernik w ciągu 10 lat istnienia tego pierwszego w Polsce centrum) możliwości samodzielnego przeprowadzania eksperymentów naukowych i poznania rządzących badanymi zjawiskami praw zastępuje sam na bardziej szczegółowe omówienie, szczególnie że jest on najbardziej związany ze słabnącą na świecie rolą dostarczania społeczeństwu wiedzy i racjonalnego spojrzenia na świat przez szkolnictwo powszechne.

ŁUKASZ A. TURSKI

Centrum Fizyki Teoretycznej PAN
Centrum Nauki Kopernik



Pańscy wrogowie siedzą po tej samej stronie co pan

Polska scena polityczna od lat (może od zawsze?) podzielona jest na dwa obozy, które można scharakteryzować jako (i) zwolenników zachowania tradycji, (ii) zwolenników modernizacji. Dodać do tego należy potężny obóz tych, którzy polityką po prostu się nie interesują.

Sytuacja nie odbiega więc zasadniczo od tej w innych państwach, gdzie również normą jest podział społeczeństwa i reprezentujących je sił politycznych według interesów ekonomicznych, wyznawanych wartości lub po prostu uprzedzeń.

Od świata odróżnia nas jednak to, że tych podziałów nie chcemy zaakceptować. Według powszechnej opinii polityczne spory rujnują kraj i są przyczyną wszystkich naszych problemów i nieszczęść. Jakby tego było mało, pielęgnujemy przy tym nierealne marzenia o „zgodzie narodowej”, nie przyjmując do wiadomości, że pełnej zgody nigdy nie będzie, bo w wolnym społeczeństwie jest po prostu niemożliwa. I nigdzie, poza brutalnymi dyktaturami, nie występuje.

Nawet jednak obserwatorzy akceptujący nieuchronność podziałów ubolewają, że u nas spory są toczony nie tylko pomiędzy różnymi obozami, ale również wewnątrz nich, przy czym te ostatnie bywają nawet bardziej brutalne. Gazety pełne są krytycznych komentarzy o trwających konfliktach tak wewnątrz władzy, jak i opozycji. Czytamy, że w obozie władzy trwa zakulisowa walka o schedę po prezesie, a konkurenci nie przebiegają w środkach. Również w opozycji ujawniły się różne frakcje, a kilku przywódców jawnie walczy między sobą o rząd dusz.

Większość komentatorów uważa to za przekleństwo polskiej polityki, w której zawsze „ile głów, tyle zdań”.

Już Aleksander Fredro pisał:

NASZ KRAJ

*Dźwignąłby się o swej sile,
Bo z letargu kraj się budzi,
Gdyby tylko dziś nie tyle
było u nas wielkich ludzi.*

Rzeczywiście, wydaje się, że ludzie o podobnych poglądach w sprawach zasadniczych powinni umieć przejść do porządku dziennego nad różnicami ich drobiazgami, tymczasem bardzo często ambicje biorą górę nad rozsądkiem oraz kalkulacją zysków i strat.

Myszę jednak, że i ta przypadłość ma charakter uniwersalny, nie jest wcale polską specjalnością, a więc prawdopodobnie nie da się jej uniknąć i należy jedynie zadbać, aby spory były możliwie cywilizowane.

Wszak ludzie angażujący się w działania polityczne są – z natury rzeczy – energiczni, ambitni i zazwyczaj mają zdecydowane przekonania. Każdy dąży więc do przeforsowania swoich racji i z konieczności musi wstępować w sojusze i definiować przeciwników. Z natury rzeczy sojusze nie są trwałe, a i przeciwnicy zmieniają się w zależności od politycznej koniunktury. Clemenceau podsumował to kiedyś, mówiąc: *Wchodząc w politykę, musisz przede wszystkim być w każdej chwili gotowy do porzucenia swoich przyjaciół.*

Toteż dobry polityk musi mieć oczy z tyłu głowy oraz być czujnym zarówno w stosunku do wrogów, jak i przyjaciół. Tylko taki bowiem przetrwa w tym środowisku i ma szansę przebić się, jeżeli nie na szczyt, to przynajmniej wystarczająco wysoko, aby zapewnić sobie wpływy i związaną z tym skuteczność. W rezultacie tej naturalnej selekcji tworzy się zbiór ludzi wzajemnie podejrzliwych i nerwowo reagujących na, niewielkie nawet, niepokojące sygnały z otoczenia. Każdy z nich wie, że jego wzloty i upadki są bacznie obserwowane przez konkurentów, którzy zazdroszczą mu sukcesów i czekają na jego porażki.

Na dowód, że to zjawisko całkiem uniwersalne, warto przytoczyć angielską anegdotę. Podobno w Izbie Gmin zatrudniony jest specjalny urzędnik, który świeżo wybranemu posłowi wskazuje jego miejsce na sali obrad i przy tym go instruuje: „Po przeciwnej stronie sali siedzą pańscy oponenti. Pańscy wrogowie siedzą po tej samej stronie co pan”.

Polityka staje się więc grą nader skomplikowaną, gdzie indywidualne ambicje mieszają się zarówno z pustymi a wzniosłymi hasłami, jak i rzeczową pozytywną pracą na rzecz poprawy stanu społeczeństwa i państwa. Obserwowana z bliska może wydać się obrzydliwa – przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie pochwali środowiska, gdzie nie ma wzajemnego zaufania, gdzie jeden czeka na potknięcie drugiego, a często sukces odnosi się, podstawiając sprytnie nogę koledze. Dotyczy to, trzeba podkreślić, wszystkich obozów politycznych, a w każdym razie tych, które uzyskują jakies poparcie i znaczenie.

Skoro od polityki nie da się uciec, możemy pocieszać się tylko, że wewnętrzne rozgrywki i spory słabo wpływają na rezultaty działań politycznych. Znacznie bardziej liczy się, czy i do jakiego stopnia ideologia danego obozu jest dobrze przemyślana i odpowiada aktualnej sytuacji społecznej. Utarczki polityków mają znaczenie drugorzędne.

Dlatego ograniczanie się do szczegółowego śledzenia zachowań polityków i tropienie „skandali”, chociaż atrakcyjne dla mediów i niewątpliwie wpływające na opinię publiczną, nie jest właściwym sposobem oceniania polityki. Otrzymany w ten sposób czarny obraz politycznej sceny może bowiem łatwo prowadzić do wniosku, że „wszyscy politycy są nic niewarci” i na zawsze zniechęcać do podejmowania jakichkolwiek politycznych wyborów. Tymczasem ten czarny obraz absolutnie nie determinuje faktycznych rezultatów politycznego działania. Te bywają różne: czasem są znakomite, czasem tragiczne. Dlatego w żadnym razie nie jest obojętne, komu oddajemy władzę. I nie jest dobrze, gdy „przyzwyczajenie” i dobre maniere polityków stają się podstawowym kryterium wyboru.

Zakończmy słynną anegdotą Bismarcka, który miał kiedyś powiedzieć: Obserwowanie z bliska produkcji kiełbasy, podobnie jak obserwowanie z bliska tworzenia polityki wywołuje zazwyczaj obrzydzenie. Ale kiełbasa to jednak bardzo dobra rzecz.

Dodam od siebie: oczywiście pod warunkiem, że producent nie zatruł jej jadem kiełbasianym.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, [† Franciszek Ziejka].

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.